

XIĄDZ ADAM.

Legenda z roku 1246.

Był w Franciszkanów świętym zakonie,
Mąż z enotliwego żywota znan;
Czcili go ludy i sam na tronie,
Słowiańskich dziedzin cenil go pan.

Choć pomiłował pokorę, skromność,
Cnoty swe tulił w klasztorny cień;
Ale Bóg zrządził, późna potomność
Żywota jego ogłasza dzień.

Miał imię Adam: serce go boli
Słyszac o błędach pogańskich wieść;
Błaga starszego, by z jego woli
Ciemnym, Chrystusa światło mógł nieść.

I szedł na północ w kraje dalekie,
Gdzie się Prusaków zasiedlił lud;
Przybył nad Wisłę i Wisłę rzekę,
Głęboką, przeszedł szczęśliwie w bród.

Drogą znużony, nie brał spoczynku.
Skoro wszedł w miasto, a wieczór był,
Napotkał mnogo luda na ryku,
W środku się ogień chrustowy tlił.
A w koło ognia, chłopców i dziewczek,
Mnóstwo splełanych skakało par,
Przy głosie rogów i dzikich śpiewek,
Chróstem drażniło ognisty żar.

Skoro uciichły śpiewy i gwary,
Wielebny Adam podniósł swój głos,
I mówiąc słowa Chrystusa wiary,
Runął na święty Prusaków stos.

Zdziwiona zgraja, patrzy i pyta,
Z jakiego kraju dziwny ten człek?
Poznał kapłana stary wróżbita,
I wściekłym gniewem miotany rzekł:

»To kapłan! nową niesie nam wiare,
»On bluźni Bogom, na ogień z nim,
»Bogom uczynim godną ofiarę,
»Gdy jego popiół rozniesie dym.
Ledwie te słowa skończył wróżbita,
Budzi się w ciźbie, okrzyk i gwar,
Przypada zgraja, kapłana chwyta,
I wrzuca w ognia okropny żar.

Lecz płomień wiatrem z góry ciśnięty,
Upadł i dołem wił się jak wąż;
I stał śród ognia, ogniem nie tknięty,
Na stosie Adam, pobożny mąż.
Zaszumił wicher, w płomienie dmuchnął,
I tam, gdzie stary wróżbita stał,

Lawą gorącą i iskrą buchnął,
Spojrzyć — wróżbita ogniem już tlał.

A kapłan cały stoi w płomieniach,
Z głowy mu jeden nie splełął włos,
I chwali Boga w pobożnych pieniach,
I do zdziwionych podnosi głos.

A słowa jego ciekawie słucho,
Dziwem i trwogą przejęty lud,
I słowo wchodzi do ludu ucho,
Bo serce ludu otworzył cud.

I jeszcze w nocy nad brzegiem Wisły,
Do chrztu gotowy stał ludu ścisk,
A skoro ranne zorza zabłyśły,
Nad miastem krzyża ujrzałeś błysk. (*)

JASKÓTKI.

Jaskółki ważne w historii naturalnej zajmują miejsce. Ptaki te są małe, ale ich liczba jest nieskończona, albowiem na całej prawie ziemi, aż do kół biegunowych gnieźdzą się. Wygubianiem zaś szkodliwych owadów, wielką ludziom czynią przysługę, i dla tego rolnik niejako za nietykalne je uważa i cieszy się gdy pod strzechą jego chaty lub w oborze gniazda swe budują. Wszystkie jaskółki są właściwie napowietrzne ptaki; nie chodzą ani skaczą, lecz tylko latają, stoją lub pną się. Ponieważ mają lot szybki, do którego szczególniej utworzone bydy się zdają, mogą przeto w krótkim bardzo czasie dalekie odbywać drogi. Z tём wszystkiём, na mróz nie są wytrzymałe i dla tego z zimnych krajów, skoro przymrozki nadchodzą, odlatują; tylko przy równiku stałe mają siedziby.

Mniemano dawniej, a wieśniacy i strzelcy dotychczas sądzą, że jaskółki u nas zimują, nurzając się sznurem w bagniskach, gdzie w letargu czas ten przepędzają. Tymczasem, najpierwsi naturaliści dowiedli, iż żaden ptak z natury swojej nie może w letargu żyć długo i dla braku powietrza zaraz zdycha. Takie pozornie obumarłe jaskółki, przywrócone do życia, były zapewne młode, wędrujące zbyt późno do cieplejszych krajów, nagle od mrozu zaskoczone. Kiedy na wiosnę po ich powrocie niespodziewane zimna nastąpią, wiele jaskółek ginie; lub też w jesieni, gdy je nagle w podróży mróz ścisnie, spadają nieraz na ziemię, jakby nie żywe.

Jaskółki wszystkich stref zimniejszych,

(*) Wyjęta z Żywotów świętych naszych.

wędrując na jesień, niezmiernie odbywają podróże, aż do krain równika, gdzie podostatkim owadów znajdują. Wielkimi gromadami przepływają się przez ocean; a nasze europejskie jaskółki, co rok regularnie z Afryki do nas przybywają, w jesieni zaś znowu tamże odlatują.

Mając wędrować, na kilka dni wprzódy gromadzą się po drzewach (gdzie przedtem nie siadały), lub po dachach i świągocą, poczem w kilka dni nagle znikają. W podróży swojej nie nocują ani na drzewach, ani po domach, lecz w trzcinnie rzek, jezior lub bagnisk. Często także obiadają maszty i żagle okrętowe, kiedy są znużone. Nie lecą ciągle, lecz bawią tu i owdzie po kilka dni. Co rok prawie o tymże samym czasie odlatują; z powrotem, czasem już w Marcu pojedynczo się pokazują; lecz najczęściej dopiero około połowy Kwietnia; ztąd polskie przystowie: jedna jaskółka nie przyniesie wiosny. Do nas najprzód przybywa jaskółka kominowa. (Dymówka), a potem dopiero razem przybywają, jaskółka domowa i brzegowa czyli grzebielucha, w drugim tygodniu Kwietnia.

Jaskółki co rok wracają w toż samo miejsce, z którego przeszłej jesieni wywędrowały i też same pary starych jaskółek zajmują dawne gniazda. Jakiego w tej dalekiej podróży mają przewodnika, nie wiadomo, to tylko pewna, że ich wzrok bystry, bardzo im w tym względzie jest pomocnym.

Europejskie gatunki wylęgają co rok, dwa i trzy razy po 4 lub 5 jaj. Gniazda ich są albo zewnątrz domu murowane, albo w ziemi umieszczone. Po większej części razem zakładają swe gniazda i lubią żyć gromadnie. W powietrzu jedzą i piją lećca, nawet młode swoje karmią w locie. Ścigają owady, muchy, ślimaki, przeznaczone sobie z natury za pokarm. Jakkolwiek tym sposobem wielką nam czynią przysługę, jednakże człowiek w niektórych krajach wyćpia je i niszczy: zwłaszcza w jesieni, gdy w trzcinnie nocują, łapią je w niektórych miejscach w sieci tyśiacami na pokarm. Tego losu doznają szczególnie w Włoszech, gdzie prawie wszystkie ptaki ścigane są jak najokropniej, podobnież w Alzacyi i innych okolicach Francyi.

Spostrzeżenia niektóre dowodzą, jakoby jaskółki w niebezpieczeństwie wzajemnie wspierać się zwykły. I tak uważano raz jaskółkę domową w Paryżu, która się uczepiła za nitkę wiszącą u rynny. Na jej pisk, zgromadziły się wszystkie prawie jaskółki, mieszkające w tym cyrkule i uwolniły ją szczyjąc jedną po drugiej nitkę,

aż się urwała. Jeszcze dziwniejszą jest rzeczą, co *Linneusz* opowiada: że jaskółki czasem zamurują wróbla w gnieździe, które sobie nie prawie przywłaszczyl.

Niektóre jaskółki, gnieździące się na wyspach archipelagu indyjskiego, budują sobie gniazda *jadalne*, których sześcaki podobne są nieco do karuku, czyli kleju z wżowych błonek: są twarde, kruche i przezroczyste, z restą kształtem do małej kropielniczki podobne. Niektórzy uczeni sądzą, że się składają z pewnego rodzaju piany morskiej lub ikier ryb, inni myślą, że pochodzą ze śliny samego ptaka. Co takotnisie w tych gniazdach osobliwego znajdują, pojąć trudno; smak bowiem mają brzydki, trochę słony, wcale nieprzyjemny: gniazda te są w wielkim mnóstwie na skałach, zwłaszcza nad brzegami morskimi wysp Jawa, Sumatra, Cochinchina, Nowej Gwinei i Filipinów. Jaskółki te nie są większe od kolibrów. Są także jaskółki, gnieździące się w ziemi, mianowicie nasza *Grzebielucha*: ta jaskółka kopie sobie niepojętym prawie sposobem łochy horyzontalne, czasem na dwie stopy głębokie w ziemi, nad spadzistemi brzegami i tam jaja składa. Ziemia niekiedy jest tak twarda, iż aby się do gniazda dostać, częstokroć dłota lub innych narzędzi używać trzeba. Wszystkie inne europejskie jaskółki murują, przyczepiając swe gniazda z błota do muru lub belek, tak mocno że ich wiatr nie ruszy.

Obrahowano, iż jaskółka w jednej minucie uleci milę angielską i tylko jeden ptak na świecie jeszcze ma lot bystrzejszy, to jest wędrujący gołąb amerykański, który nie raz na 150 mil od gniazda, szuka sobie żywności i w przeciągu 6ciu godzin, 300 do 400 mil angielskich, czyli przeszło 50 mil polskich uleci. Nasza zwyczajna jaskółka domowa, pod brzuchem biała, z wierzchu zaś zupełnie czarna, mieniająca pióra: skrzydła ma szare z zielonkawym obwodem, długa jest na cali 5 i pół. Jaskółka ta w całej Europie jest znana i przybywa do nas w Kwietniu. Gnieździ się po miastach i wsiach, w bliskości okolic w wodę obfitujących; lecz niekiedy także daleko od mieszkań ludzkich, w miejscach skalistych. Samiec ma głos szczebiotliwy, który siedząc na dachu, a czasem i w locie wydaje. Buduje sobie gniazdo z błota lub szlamu zewnątrz domów, tak, aby z dwóch stron do ściany lub muru przystawało, tylko u góry zostawia wolny otwór. Gniazdo to jest tak mocne, iż trudno je oderwać. Jajka w liczbie 4—6. są sine i mają bardzo delikatną skorupkę: wylęgają młode we dwóch tygodniach: te ustawicznie piszczą i dostają pokarm od sta-

rych, składający się z owadów. Jaskółka domowa ma zaciętych nieprzyjaciół w małych drapieżnych ptakach, w kobusach i t. d. lecz zwykle szybkim lotem uchodzi napaści.

Drugi gatunek jest tak nazwany *Kominowa jaskółka*: ma czubek i podgarle brudno czerwone, świecące się jak stal, brzuch brudno białawy; jęj długość dochodzi 7 cali. Ta jaskółka na wiosnę najprzód powraca, czasem już na końcu Marca. Znajduje się od najdalszej północy, aż do przyładka Dobrej nadziei, jest najtaskawsza i najśmielsza ze wszystkich i lubi zakładać swe gniazdo wewnątrz domu, w kominach, zwłaszcza gdzie się ogień nie pali, w sieniach, w stajniach i t. d. Lata nadzwyczaj szybko, w czasie pogody zawsze prawie wysoko w powietrzu się unosi; lecz gdy śtota nadchodzi, zniża się do ziemi, latając po nad wodą. W Wrześniu odlatuje do Afryki, Nubii i Egiptu. Jęj gniazdo tworzy połowę półkuli i składa się z błota ze słomą zmieszanego, jaja są białe, szaremi i fioletowemi punkcikami upstrzone.

Większa od wspomnianych dopiero jaskółka wieżowa, jest bardzo czarna, wyjąwszy białawe gardło: ma bardzo ostre pazury i z trudnością oderwać ją można od tego miejsca gdzie się przyczepi, a jeżeli to rękami wykonać chcemy, pewno zerwan się nie obejdzie. Z wielkiem świegotaniem latają one gromadami około wież, które sobie za mieszkanie obrały. Zawsze wysoko w powietrzu się unoszą, nie spuszczać się nigdy na ziemię, a gdy przypadkiem spadną, trudno im wzlecieć, ponieważ długie ich skrzydła potrzebują zapędu. Później do nas przybywają i prędzej odlatują.

Grzebielucha, jest popielatego koloru, ma około szyi biały pierścionek; przykre brzegi rzek, nieprzystępne człowiekowi, są jęj mieszkaniem. Tu kopie sobie głębokie nory, potem znosi słomki i na nich składa jajka. I ta na zimę odlatuje.

B I C E T R E.

(Dokończenie.)

Bóg umieścił w sercu człowieka tajemniczą potrzebę towarzystwa innych ludzi; a ten, którego tak srodze doświadczyły wyroki Opatrzności, nie może się odważyć roślinić jak żdzbito trawy, bez żadnych stosunków z bliźniemi. Niewidomy-głucho-niemy wynalazł więc prosty i dowcipny sposób rozmawiania i pewnego poranku, dostawszy przypadkiem kawałek

kredu, skreślił następne wyrazy na podłodze sali sypialnej.

Piszcie palcem na mojej dłoni to, co mi chcecie powiedzieć.

A potem czekał, łatwo pojąć z jak rozdzierającą niespokojnością, aż kto będzie przechodził. O ileż w jednej godzinie oczekiwania wycierpiał ów nieszczęśliwy! pytając sam siebie: Krędeź to ja mam w ręku? Skreśliłaż moja ręka wiernie litery? Nie zawiodłaż mię pamięć, kiedym od tak dawna nie próbował pisać? Ujrzyż kto w tych literach co innego, nie kreski tylko przypadkowo skreślone? postrzegąż je? nie sąż już zmazane?... A nie może widzieć, nie może słyszeć czy kto nadchodzi. Musi czekać; nieruchomy, milczący, z bijącym sercem, z konwulsyjnym drżeniem.

Nakoniec, po godzinie, po całej godzinie! coś dotyka się jego ręki. O radości! o szczęście! o uniesienie!

Niestety! dziecię płocho około niego przebiega i ani zważa na litery skreślone na posadzce.

Przez ośm dni z wytrwałością na nowo rozpoczynał. Lecz sama ta wytrwałość czyniła niepodobnym to, czego tak gorąco pragnął; gdyż pisząc ciągle na jednym miejscu, zrobił nakoniec nie czytelną mięszaninę.

Nakoniec, jeden z dozorców nadybał go rozpoczynającego po raz setny może nadaremna swoją pracę. Wziął go za rękę i zaprowadził w inną stronę sypialni. Niewidomy omdlewał prawie z radości i padł bez zmysłów, uczuwszy że palec dozorca pisze na jego dłoni:

— *Rozumiem cię.*

Wówczas rozpoczęła się pomiędzy obydwojma ciągła rozmowa: pierwsza styeczność nieszczęśliwego z ludźmi, od tak dawnego czasu! Nie mógł się nasycić nią i zaprzestać; gdy dozorca chciał się oddalić, ścigał go omackiem, otaczał błagającemi rękoma, płakał, pisał na swęj tabliczce:

— *Nie zostawij mnie samego.*

Zaledwie w kilka dni uspokoił się niewidomy-głucho-niemy, ze wzruszenia, które o mało nie stało się zgubnym dla niego. Ukoiła się nakoniec nieograniczona radość jego i odtąd mógł utrzymywać ciągłe stosunki z temi, których potrzebował.

Gdym się zbliżył do niego, siedział przy różku, gdyż się nawet nie może kierować po słuchu, jak inni niewidomi. Głowę schyloną miał na piersi, z głębokim wyrazem tęsknoty, a obok niego leżała tablica i szyfer, nie odstępne jego sprzęty.

Gdym dotknął się jego ręki, zadrżał, a smutny i łagodny uśmiech usta jego ożywił.

Skreśliłem na jego dłoni następujące słowa:

—»Czy chcesz pomówić ze mną?

Wziął tabliczkę i napisał odpowiedź pi-
smem szybkim, dużym i kształtnym:

—»Jak najchętniej.

—»Czy bardzo jesteś nieszczęśliwy?

Wzniósł oczy w niebo i załamał ręce
z bolesnym wzruszeniem.

—»Czy bardzo się nudzisz?

Wziął z razu tabliczkę chcąc mi odpo-
wiedzieć; lecz ją położył na łożku i z peł-
nym wyrazem poruszenia ukrył głowę w obu
rękach. Wziął potem tabliczkę i napisał
na niej:

—»Nie ma dla mnie ani dnia, ani nocy.

—»Pocieszaj cię modliwa?

—»Bóg moja jedyna pociecha, w nim ca-
ła moja nadzieja.

—»Czyliż węd i smak wynagradzają ci
choć w części utratę innych zmysłów?

Giestem pełnym dowcipu i złośliwości,
wskazał na drewnianą miseczkę, na której
była jakaś biedna zupa.

Scisnąłem go za rękę i już chciałem się
oddalić, gdy mnie przywołał znakami:

—»Powiedz mi pan swoje nazwisko, bar-
dzo cię o to proszę; napisał na tabliczce.

—»Dla czego?

—»Żebym je pamiętał.

—»Jakoweż zajęcie może mieć dla cie-
bie to nazwisko?

—»W mojem życiu najmniejszy wy-
padek nie jestże dla mnie zajęciem?

Wymieniłem moje nazwisko i odeszłem.
Wychodząc już z dormitarza, raz się je-
szcze odwróciłem i ujrzałem biedaka, któ-
ry sądząc że jeszcze jestem przy nim, nad-
stawał na wszystkie strony swoją tablicz-
kę, której nikt nie brał od niego; posko-
czyłem wiać ją; napisał:

—»Będę o panu zawsze pamiętał, boś
mi okazał przychylność.»

Gdy wyszedł na dziedziniec, dwóch
ludzi w odzieży *dobrych ubogich*, zbliżyło
się do jednego z towarzyszących mi arty-
stów, który właśnie kończył portret głu-
cho-niemego-niewidomego.

Dwaj ci ludzie są Nizusem i Euryalem
Bicetre.

Jeden jest idiot (głupowaty z urodzenia),
a drugi jest ślepy.

Oba znaleźni byli w domu podrzut-
ków, jednego dnia i o jednej godzinie; oba
wychowani byli w jednę wiosce; oba
tego samego dnia przyjęci byli do Bicetre.
Odkąd umieją chodzić, idiot służy za prze-
wodnika ślepemu, a ślepy myśli za idiota;
oba razem posiadają zdolności jednego
tylko człowieka: jeden wzrok, jedną myśl,
jedną wolę. Połączeni jak Eng i Chang
owe cudowne bliźnięta, nie węzłem fzy-
cznym, lecz innym mocniejszym daleko
potrzebą, nie opuszczają się nigdy, chodzą

razem, śpią razem, cierpią razem i razem
kosztują szczęścia, jakiego tylko dozna-
ją w stanie: ciepłego słońca, lepszej stra-
wy i kilku szczypt tabaki.

Fizyonomii ślepego nie zbywa na pe-
wnym wyrazie dowcipu. Co do głupowa-
tego, nigdy brzydota nie przedstawiła się
tak odstręczająca i spodlona. Jedno oko
ciągle ma zamknięte, a jeśli je otwiera,
potwornym i fantastycznym igrzyskiem
muszkułów, cała twarz jego się ściąga i
i drugie oko się zamyka.

Otoż dwie istoty pełne siły i życia, któ-
re zapewne długie jeszcze żyć będą lata,
a których całe życie będzie tępem, czem by-
ło od początku: pić, jeść, spać i chodzić.
Lecz nie ich tylko samych takie czeka prze-
znaczenie: jest tam tysiąc jeszcze stwo-
rzeń, nie mających innej przyszłości, jak
grób, innego wypadku jak cierpienie!...
A w około nich ani słowa pociechy lub
nadziei! płatny dozór, ani jednej sio-
stry Wincentego a Paulo, coby im udzie-
łała tkliwych i delikatnych starań, któ-
rych owe święte niewiasty jedynie posiada-
ją tajemnicę! ani jednego z owych aniołów
naokoło nich, coby im mówił o przyszłym
życiu, o życiu w którym za doznane tu
cierpienia sowita czeka nagroda.

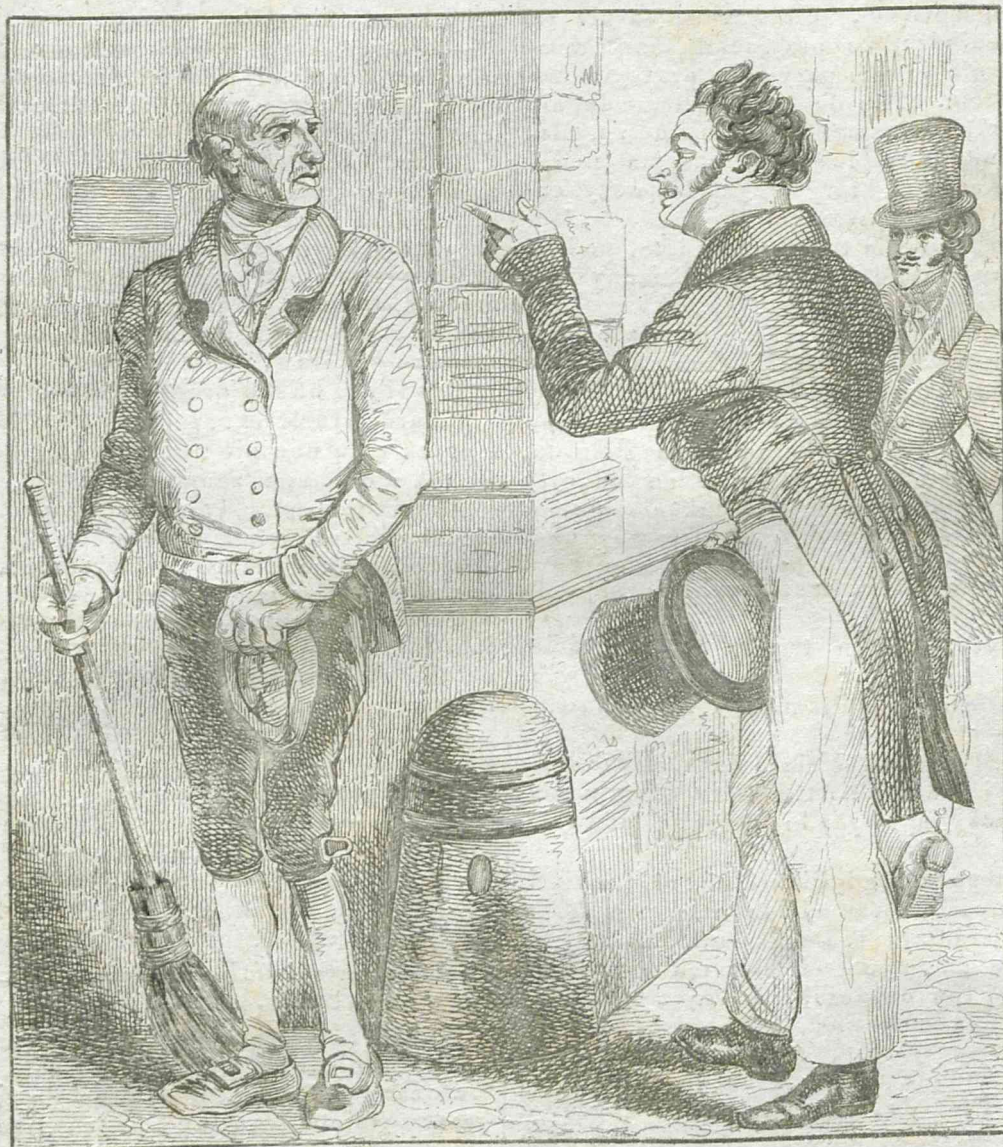
Znaczna część gnachów Bicetre prze-
znaczona jest dla obłąkanych. Nie będą
kreślił przykrych obrazów szaleństwa, głu-
poty i stanu zupełnej zwierzęcości, w któ-
rym widziałem mnóstwo nieszczęśliwych.
Wspomnę tylko o zajmującej i smutnej
oferze pustoty i niewdzięczności.

Gdy przechodził salę obłąkanych, u-
derzyła mię postać starca, który w pose-
pnym pogrążonem milczeniu, stał zamknię-
ty w zakratowanej celi. Przewodnik mój
opowiedział mi jego historią:

W pięknym domu na Chaussée d'Antin
w Paryżu, przed czternastą lub piętnastą
laty, był odzwiernym starzec, którego po-
stawa i fizyonomia oznaczała, że od mło-
dości służył u znakomitych panów. Cien-
ki, z długimi rękoma, dumnie dźwigał swo-
ją tysią głowę i nigdy nie mógł przewieść
na sobie, ażeby obcisłe i krótkie spodnie,
zamienić na wygodniejsze i cieplejsze pan-
talony. Jlekróć zamiatął się domu, wzdry-
chał ciężko i oparłszy się na miotle, opo-
wiedział odzwiernym z sąsiedztwa, jak szczę-
śliwie życie wiódł przed laty, a teraz jak
bardzo podupadł. Przez lat dwadzieścia
pięć był kamerdynerem wielkiego pana, a
na starość został odzwiernym w domu ar-
tysty. O Boże! jakże jest dziwaczne ży-
cie człowieka.

Z resztą, w całym okręgu Chaussée d'An-
tin, szanowano starego Pikarda; on był
wyrocznią wszystkich służących, pojedna-

ODZWIERNY PARYZKI.



weą kłótni i doradcą w trudnych wypadkach. — «Zapytajcie się ojca Pikarda,» mówiono, chcąc poprzeć opowiadanie.

Stary Pikard, mimo ciągłych ubolewań, żył szczęśliwie w wygodnej izbedce. W zimie dobry miał ogień, a po godzinie szóstej wieczorem, ledwie dwa lub trzy razy musiał otwierać bramę; w lecie miał czyste powietrze i cztery doniczki z kwiatami; wszyscy go słuchali, poważali; właściciel domu szacował go i nigdy nie o-mieszkał powitać go temi słowy: *Dzień dobry mój poczciwy Pikardzie*. Czegoż mu więc nie dostawało? Niczego zapewne, a jeżeli

żałował dawnych czasów, to dla tego, że w sercu człowieka musi zawsze mieścić się żal, albo życzenie, i że przeszłość dochowała mu pamiątkę świętego i szlacheznego czynu; o którym przecież nigdy nie wspominał.

W 1793 pan Pikarda, margrabia de Valicourt, został wtrącony do więzienia i wzyty ze wszystkiego. Żona jego i syn schronili się za granicę. Pikard, wierny Pikard, poszedł do Paryża za panem swoim, i ażeby ostodzić los jego, ażeby dziedzic tak wielkiego domu, nie musiał sypiać na słomie i żywić się czarnym chlebem wię-

źniów, wierny sługa wykonywał najcięższe najprzykrzejsze prace. Nie go odstręczyć nie mogło. Sypiał na poddaszu, wstawał o świcie i odmawiał sobie najpierwszych potrzeb, nawet opał. Ale w dzień dekady, mógł przynieść więźniowi talara, a czasem i więcej. Udawał że to nie są jego pieniądze, że przyjaciel margrabiego nie śmiejąc sam przyjsz, przysyła mu to wsparcie. Pan de Valicourt nie dał się uwodzić tém wspaniałomyślném zmysleniem i nieraz z łzawemi oczyma podał rękę Pikardowi, który przyklękawszy, całował ją z uszanowaniem.

To poświęcenie trwało dwa lata, po których margrabia de Valicourt skazany był na wywiezienie z kraju.

Pikardowi przez myśl nie przeszło, opuścić swego pana. Szedł pieszo od miasta do miasta, za wózkim na którym jechał schorzały margrabia. Nareszcie żandarmowie zrozumieli szlachetne serce Pikarda, pozwolili mu nawet wsiąść na odkryty wózek, obok wygnańców. Jakże się ucieszył Pikard, gdy mógł utrzymywać opadającą głowę swego pana, zachęcać go i mieć o nim jak najtroskliwsze i najczulsze starania.

Niestety, krótko trwało to szczęście, margrabia umarł w drodze, opierając głowę na piersiach Pikarda i błogosławiąc wiernego sługę.

Pikard pochował ciało jego, wrócił do Paryża i w domu na Chaussée d'Antin znalazł spokojną i wygodną służbę odzwiernego.

Pewnego dnia, gdy Pikard stał we drzwiach i rozmawiał z trzema lub czterema sąsiadami, nadeszła gromadka młodzików, porządnie naciętych, chociaż ich wytworny ubiór i ton oznaczał, że są z wyższego stanu. Jeden z nich, najmłodszy, zatrzymał towarzyszy, rzekł do nich kilka słów śmiejąc się w głos, a zbliżywszy się do Pikarda, zdjął kapelusz z głowy, z oznakami szyderczej grzeczności. Pikard mimo tego zdjął także swój kaszkiecik.

—»Mości panie, rzekł młodzik, musisz mi uczynić wielką przysługę.

—»Cóż takiego panie?

—»Przysługę niezmierną zacny i szanowny panie!

—»O cóż idzie?

—»Nie odmówisz mi, wszak prawda?

—»Jeżeli tylko będę mógł uczynić, do brze.

—»Otóż.... Nie odmawiaj mi, odmówienie to przywiodłoby mię do rozpaczyny... potrzeba mi trochę twoich włosów.

—»Zuchwalcze! zawołał Pikard.

—»Potrzeba mi chociażbym po luidorze za jeden zapłacił. Potrzeba mi ich szanowny starcze.

—»Proszę pana przestać tych żartów.

Młodziki śmiały się do rozpuku; sąsiedzi Pikarda śmieli się także.

—»Potrzeba mi twoich włosów zacny odzwierny, mówił młodzik, zachęcony temi śmiechami; potrzeba, nie odmawiaj mi ich.

Pikard chciał wejść do swojej izbedki; lecz jego prześladowca schwytał go za rękę. Pikard zaczął się gniewać; lecz ani jego złość, ani usiłowania, nie mogły oddalić przekłętogo opilca. Ludzie zebrali się w koło nich. Wyobraźcie sobie boleść Pikarda, gdy został celem publicznego szyderstwa i żartów.

Trwało to blisko przez godzinę.

Pikard wrócił chory do swojej izbedki i przez całą noc nie zamknął oka, dręczony tak opłakaném zgorzeniem.

Nazajutrz rano, gdy stanął na progu, sąsiedzi uśmiechnęli się jeden do drugiego, spoglądając na Pikarda. Uderzenie sztyltem nie byłoby mu tak bolesne.

Smutny i srodze dotknięty, wrócił do izbedki i nie wyszedł z niej przez cały dzień. Wieczorem, stanął znowu we drzwiach domu dla użycia świeżego powietrza. Milczący i posępny spoglądał z pogardą na sąsiadów, gdy w tém jakimś służący przystąpił do niego.

—»Czy chcesz zarobić pięćdziesiąt franków mój stary?... Nie dokończył, gdyż Pikard zgadując resztę, z wściekłością rzucił się na niego, ale silny sługa schwycił starca i zaczął wołać.

—»Nożyczek! nożyczek! chcę uciąć trochę jego włosów.

Po tej powtórnój zniewadze, gorączka porwała Pikarda i wpadł w szaleństwo. Związano go, przymocowano do łóżka i przetrząsnęto jego rzeczy, szukając czyli nie ma pieniędzy, za które możnaby go umieścić w instytucie obłąkanych.

Nie znaleziono pieniędzy, lecz papier obejmujący te słowa.

»Polecam mojej familii Amanda Franciszka Pikarda, mego dawnego kamerdynera, który żywił mię z pracy rąk swoich, gdy mię więziono w Conciergerie, i który towarzyszył mi, gdy mię skazano na wywiezienie z kraju. W ostatniej chwili życia mego, nie mogąc wynagrodzić usług tak wspaniałomyślnego przyjaciela, zostawiam mu to pismo, prosząc i rozkazując mojej familii, aby godnie wynagro-

„dział Pikarda, który nie był moim sługą, lecz przyjacielem i bratem.”

— *Margrabia de Valicourt.*

— »Margrabia de Valicourt!« zawołał ktoś z obecnych. Jego syn jest wgardy królewskiej, a jego ojciec mieszka od niejakiego czasu na przedmieściu Saint-Germain.

— »Trzeba mu zanieść to pismo i żądać pomocy dla Pikarda.

— »Ja to uczynię, rzekł lekarz.

Przyjął go młodzieniec dwudziestoletni i przeczytał pismo.

— »Gdzież jest ten zacny człowiek! zawołał.

— »Jest obłąkanym i to z następującej przyczyny:

Lekarz opowiedział przygodę Pikarda. Młodzieniec zbladł i rzekł po cichu.

»To był żart, z którego smutne skutki wynikły.

I po krótkim milczeniu przydał.

— »Proszę pana nie wspominać o tém przed moim ojcem.

»Ja będę płacił pensją Pikarda w instytucie obłąkanych; oto jest pierwszy kwartał.

Doktor odszedł.

— »Po cóż mi przyszedł do głowy ten żart niewczesny! Sto franków na miesiąc, drogo mię kosztuje.»

Pensją płacono tylko przez dwa kwartały. Po ich upływie, *młodzik pamiętny na polecenie dziadka*, postarał się aby biednego Pikarda przeniesiono do Bicetre.

WILHELM ZDOBYWCA.

Wilhelm, zdobywca Anglii, prawodawca tej wyspy, założyciel dynastji przez długie lata panującej, twórca instytucji, które po części aż do naszych czasów przetrwały w tym kraju, był naturalnym synem Roberta księcia Normandyi i urodził się w r. 1016. Miłość księcia dla jego matki, skłoniła go, iż mając dwóch dorosłych synów z prawego łoża, Wilhelmu liczącemu dopiero lat dziewięć, przekazał testamentem państwo swoje i oddał go pod opiekę króla Francji, od którego Normandia zależała prawem lennem. Rozporządzenie to było powodem zaburzeń, lecz młody Wilhelm doszedłszy do lat, zwalczył swoich przeciwników i stał się postrachem wszystkich ościennych książąt. W owym czasie umarł bezpotomnie Edward król Anglii bliski krewny Wilhelma i przez niego na tronie utrzymany przeciw napaści Duńczyków. Przez wdzięczność zapisał był Wilhelmu koronę, lecz po jego śmierci Anglię obwołali królem Haralda,

jednego z możnowładców, który już poprzednio przysięgą zobowiązał się Wilhelmu że nie przyjmie berła. Wilhelm zaczął gotować się na zdobycie przyczynzonego tronu.

Na pierwsze wejście, zamysł podbicia Anglii, nie zdawał się zgadzać z rozumem, tak był nad siły xięcia Normandyi. Lecz szczęśliwe okoliczności ułatwiły wszystko. Naprzód, słynęło daleko w owym wieku męstwo Normanów. Kilku ich, za powodem tylko oręża i odwagi swojej, puściwszy się właśnie w tym czasie do Włoch, wiele tam krajów zdobyli, z których podniemi powstało Neapolitańskie i Sycylii królestwo. Wiele do tej stawy przyczyniał się sam Wilhelm; młodym on jeszcze będąc, całej sprzysiężonej Francji i swoich zbuntowanych lenników zamachy na sobie wstrzymał; ta więc jego i Normanów sława łatwo mogła znakomitych rycerzów ze wszech stron zwabić do Normandyi, zwłaszcza w owym wieku, w którym każdy pan, mało co swemu zwierzchnikowi podległy, szukał usilnie pory wstawienia się orężem, nie wiele się pytając, za jaką sprawę bić się będzie.

Skoro więc tylko rozgłosił Wilhelm swój zamysł względem Anglii, biegło co żywo wiele wojowników ofiarować mu broń swoją. Henryk IV cesarz oświadczył się za nim. Papież Alexander II. którego sobie Wilhelm ujął, przysłał mu poświęconą chorągiew, rzuciwszy wprzód klątwę na Haralda, jako na krzywoprzysięcę. A co najprzedniejsza, Francja nawet sama zostająca pod niedorosłym jeszcze Filipem I. sprzyjała ponieważ tej wyprawie, oczywiście dobru swojemu przeciwniej; stany tylko księstwa Normandyi, nie pokazały dosyć ochoty na poparcie jej pieniężnemi posiłkami, których się Wilhelm domagał. Ale on udawszy się wprzód do każdego z możniejszych z osobna, otrzymał od nich, a potem i od stanów samych znaczne pieniądze. Po czém flotę od trzech tysięcy statków wystawiwszy i 60,000 zebrawszy wojska, zagroził Anglii bliskim opanowaniem.

Na fałszywą pogłoskę, nie wiedziąc jak rozsianą, jakoby Wilhelm przeciwnymi wiarę zatrzymamy, poniechał przedsięwzięcia, Harald zwiędziony dał rozkaz flocie swojej, przystępu Normanom bronić mającej, aby weszła do portów. Fatalny błąd królowi i królestwu! Normanowie wprędce się u brzegów Sussexy pokazali i tam bez przeszkody wszelkiej na ląd wysiedli. Wilhelm gdy z okrętu swego wysiadając, upadł: zawołał: *Biorę w odzierżenie kraj angielski.* Za dobrą to wzięto wróżbę, gdy w umysłach

WILHELM ZDOBYWCA.



zabobonnych bardzo mało potrzeba do
wzniesienia już ufności, już postrachu.

Harald nie słuchając rad doświadczonych
wodzów i idąc tylko za popędliwością swo-
ją, stoczył bitwę pod Hastings 14 Paździer-
nika 1066. Wilhelm odniósł tam zupełne
zwycięstwo. Harald poległ z dwoma brać-
mi, a Wilhelm ogarnął całą Anglią i w o-
pactwie Westminsterskiem koronowany zo-
stał.

W pierwszych panowania początkach, i-
dąc za powodem mądrej polityki, obrócił
wszystkie starania do ujęcia sobie podbi-
tego narodu i do zatamowania nierządów,
które zwyczajnie skutkiem są podobnych
w kraju rewolucyi. Sprawiedliwości, jak
w swoim księstwie Normandyi, tak nie-
mniej surowo i w Anglii przestrzegał, zra-
zu osobliwie, gdy szło o utrzymanie kar-
ności w wojsku; ale surowość tę umiał
szczodrobiwością i przystępczością mądrze
miarkować. Dla duchowieństwa tak u sie-
bie zasłużonego, wzajemnie wiele czynił.
Przywileje miasta Londynu i innych miast
potwierdził. Edgarowi i innym znacniej-
szym Anglikom, łaskawym się i przychylnym
okazał. Zgoła, wszystkie początkowe
jego czynności, sprawiedliwy rząd i pano-

wanie spokojne zdawały się Anglii obie-
cywać.

Dalsze jego kroki zmierzały do ugrunto-
wania nabytej władzy. Dobra szlachty sar-
xońskiej, nie chcąc się poddać jego rzą-
dowi, porozdawał Normanom i kraj cały
podzielił na siedemset wielkich Barona-
tów, a na sześćdziesiąt tysięcy mniejszych
lenności. Urządzenie to jest po dziś dzień
jeszcze podstawą możnowładztwa angiel-
skiego i kluczem formy rządu tego kraju.
Język Anglo-Saxonów przyjął za czasów
Wilhelma mnóstwo wyrazów francuzkich.

Życie tego monarchy było pasmem prac
i trudów wojennych. Już to musiał sta-
czać walkę z Filipem królem Francyi, już
to z niesfornymi lennikami w Normandyi;
to znowu przytłumiał wznawiający się o-
pór Anglo-Saxonów, a nareszcie bunt jego
własnego syna Roberta, srogą ranę za-
dał sereu ojcowskiemu. — Wszystkie te
trudności pokonać zdołał, a Robert syn
jego, poznawszy błąd swój, padł mu do
nóg i za wstawieniem się królowej, prze-
baczenie otrzymał. Wilhelm umarł pod-
czas wojny z Francją, mając lat 71.